

Kuźnica

miejszchnik poświęcony zagadnieniom współczesności i Śląska

ROK II.

MARZEC 1936

NR. 3.

T R E Ś Ć :

PAWEŁ MUSIOŁ: O godność narodową i państwową w polityce mniejszościowej. — JULJUSZ GRZĘBA: Czy wytrwają i wygrają? — LUDWIK KOHUTEK: Na podzwonne Konwencji Genewskiej. — CZESŁAW DROZDOWSKI: „Młodzież interesuje się tylko sportem”. — JANINA ZABIERZEWSKA: Pieśń. — JAN BARANOWICZ: Człowiek, Droga. — LUDWIK BROŻEK: Dzieje pewnej konjunktury. — Z. M.: Wrażenia konsumenta. — ZBIGNIEW MACIEJEWSKI: Naco to i komu? — BARTŁOMIEJ PYRLIK: Dyrekcja nie tylko opala ale i oświeca Polskę. — Przeglądy: Wieczór „dyskusyjny” a monopol zabierania głosu. Z wieczoru „Kuźnicy”. Brzydkie metody błaznowania. Rewja znawców.

O godność narodową i państwową w polityce mniejszościowej.

W popularnych książkach o dziejach Polski i w wielu powieściach historycznych znajdował czytelnik obowiązkowo charakterystykę naszych praocjów. Wyzierał z niej taki barankowaty słowianin: łatwowiezny, pacyfistyczny, zawsze z temi otwartemi ramionami i z tą gotowością do wycalowywania się z byle kim. Oczywiście źle na tem zazwyczaj wychodził.

Ta charakterystyka przypomina się przy obserwacji pewnych zjawisk, jakie występują w naszym społeczeństwie, ilekroć Polska unormuje stosunki sąsiedzkie z którymś z jej „odwiecznych wrogów”. Odrzu dostajemy jakiegoś zawrotu głowy i już nie jesteśmy zdolni do myślenia kategorjami realizmu historycznego. Miara naszej naiwności mierzymy i oceniamy partnera. Zapominamy, że w sprawach polityki międzynarodowej a zwłaszcza sąsiedzkiej rządzą twarde prawa historii; że paktu nie zawiera się dla pięknych oczu, lecz dla obupólnego interesu; że sojusz czy pakt o tyle może być trwały i korzystny, o ile żadna ze stron nie pozwoli się wykorzystać. A tendencje do wykorzystywania partnera mieć będzie nawet najbardziej serdeczny sojusznik. To są rzeczy proste i jasne, ale nie trzeba o nich zapominać.

* * *

Takie ogólne uwagi nasuwają się, gdy obserwujemy tak działalność mniejszości niemieckiej głównie na Śląsku, jak i naszą politykę w stosunku do niej po pakcie o nieagresji między Polską a Niemcami. A wygląda to wprost niesamowicie. Jakkolwiek bowiem sądzono, że pakt o nieagresji przekreśli rachuby mniejszości niemieckiej co do zmiany granic (przecież ta mniejszość zawsze w perspektywie spodziewała się konfliktu między Polską a Niemcami, a bezpośrednio do dojścia Hitlera do władzy przestrzeń tego czasu b. sobie nawet skróciła), to działalność tej mniejszości właśnie w obecnym czasie wykazuje nienotowaną dotąd dynamikę i bezczelność. Za sprawą organizacyj niemieckich i ich różnych przybudówek uprawia się w najlepsze germanizację; przy nadarzających się okolicznościach urządza manifestacje hitlerowskie; robi się wreszcie podziemną, wywrotową robotę.

Prasa polska prawie codzień donosi o ekscesach niemieckich. A donosi to w takim tonie, że człowiek pyta się: gdzie my jesteśmy? Czy w państwie polskim, które umie wymagać posłuchu od swoich, gdy tego wymaga racja stanu, czy też w państwie, w którym mniejszości mają większe przywileje niż większość narodowa? Bo doprawdy to skomlenie pewnych gazet

i te biadania na posiedzeniach robią czasem wrażenie, jakbyśmy byli większością bitą we własnym państwie przez mniejszość. I to przez mniejszość, której na Śląsku jest zaledwie 7%.

I kto by teraz sądził, że ta agresywność mniejszości niemieckiej z niej samej się tylko rodzi, byłby naiwniakiem, skoro polonizacja przemysłu, który uchodził za bazę wojującej niemieczyny, dobiega kresu. (A więc niema na kogo obecnie składać winy).

* * *

Jeżeli zatem ani ten fakt, ani też pakt o nieagresji nie osłabił roboty niemieckiej na Śląsku, robota ta jest inspirowana i finansowana z Rzeszy.

Spychać winę wyłącznie na ten jeden czynnik byłoby wielkim upraszczaniem sprawy. Przyczyn jest o wiele więcej. Jedną z nich to Konwencja Genewska. Ale z Konwencją Genewską ma się podobnie, jak z paktem o nieagresji. Ani Konwencja, ani pakt nie mogą odgrywać roli płaszczyka dla antypaństwowych wystąpień, gdyż zawarto je dla określonych celów o określonych granicach. Gdy się te granice przekracza, oznacza to, że albo z jednej strony jest zła wola a z drugiej mazgajstwo, albo też jedno i drugie ma miejsce. Bo gdy politycy i społeczeństwo mają świadomość, czym są pakt, sojusze itd., czuwają, by nie stawały się czemś innym.

Z tych przesłanek wychodząc, za główną przyczynę omawianych zjawisk uważać należy stosunki wewnętrzne:

więc to lecenie na przyjaźń niemiecką wielkiego odłamu społeczeństwa, nie orjentującego się w stosunkach na naszych zachodnich kresach a bezkrytycznie przyjmującego każdy gest z tamtej strony za dobrą monetę;

dalej nędza, jaka dotknęła wielkie rzesze pracownicze na Śląsku, przywykłe do wysokiej stopy życiowej na tym terenie, utrudnia wiązanie tych odłamów z państwem a ułatwia dywersyjną robotę mniejszości;

front walki z mniejszością niemiecką nie obejmuje tu całego uświadomionego społeczeństwa, następnie organizacje, pretendujące do przewodzenia w robocie narodowej i ruchu społecznym, nie wykazują ani większej ruchliwości organizacyjnej, ani głębszego życia ideowego, aby siłą polskiej działalności ścieśnić zasięg akcji niemieckiej.

* * *

Rzecz prosta, że zagadnienia niemieckiego na Śląsku nie da się załatwić na krótkim toporzyśku choćby tylko dlatego, że wagi dodaje mu nasze, codopiero scharakteryzowane podwórko. Nie znaczy to jednak, że nie mamy się z nim uporać w krótkim czasie. I to skutecznie, by przestało być na przyszłość aktualne.

1) Przedewszystkiem zdecydowaną postawę wobec działalności mniejszości niemieckiej, wykraczającej poza jej etniczne ramy, przyjąć muszą władze państwowe i społeczeństwo. I to nie tylko w chwili i na czas, gdy sprawa nabiera już skandalicznej formy. Wysiłek musi być ciągły, idący w kierunku zniszczenia źródeł siły tej mniejszości. A więc z jednej strony bezwzględne tępienie objawów nielojalności przez władze (nielojalnością jest również kupowanie dzieci do szkół mniejszościowych i werbunek polskiego elementu do niemieckich organizacji), z drugiej mocne oświadczenie wobec Rzeszy, że pakt o nieagresji musi mieć swój praktyczny wyraz również w polityce mniejszości w Polsce.

Zrozumiałe, że przy takiej postawie władz posypią się skargi na deptanie Konwencji Genewskiej itd. — jednak polityka międzynarodowa ma dziś większe kłopoty niż wysłuchiwanie narzekania na przywracanie mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku do przytomności. Zresztą nie większość będzie się skarżyć, tylko zawsze mniejszość.

2) Najważniejsze zadanie spada w tej walce na barki samego społeczeństwa. Zrzeszone na tym terenie w liczne związki nie wykazuje w pracy ani większej dynamiki, ani ideowości, aby ramieniem swej działalności wiązało z polskością i państwem te żywioły, które obecnie są narzędziem destrukcyjnej roboty niemieckiej. Między zjazdem jednym a drugim wloką się długie dni martwoty w pracy większości związków. Na ich czele stoją zwykle nietylko z wyboru ile z bezwładu ludzie, co już dawno przeżyli swój okres bohaterstwa, a dziś w terenie nie znaczą nic. Pora zatem na ożywienie i uideowienie polskich związków przez oczyszczenie góry organizacyjnej na rzecz energiczniejszych, zdolniejszych i ideowszych jednostek. Pora wreszcie na to, by w robocie narodowej na tym terenie nie było podziału na sanację i opozycję.

3) Mocno z temi dwoma postulatami splata się trzeci: praca. Wiem, że tego zagadnienia nie rozetnie się jak węzła gordyjskiego jednym cięciem. Wiem dobrze, że renegactwo w wielkiej mierze związane jest ze sprawą chleba. Więc zanim cały kraj wykona wysiłek wyłamania się z impasu gospodarczego, na Śląsku winno się nawet w obecnych warunkach więcej czynić dla dostarczenia pracy

choćby tylko ze względów narodowych i państwowych.

Sprawa nie cierpi zwłoki. Tu nie idzie ani o szowinizm narodowy, ani o kampanję przeciw paktowi o nieagresji. Nie chcemy ani polszczyć gwałtownie

100 tysięcy Niemców na Śląsku ani ujadać na linję naszej polityki zagranicznej.

Tu idzie o rzecz ważniejszą: o naszą godność państwową i narodową.

PAWEŁ MUSIOŁ.

Czy wytrwają i wygrają?

Hymn Polaków, mieszkających w obrębie granic politycznych dzisiejszych Niemiec, kończy się silnemi i pełnemi otuchy słowami: „wytrwamy i wygramy“, domyślne: walkę o własną kulturę polską w otaczającym ich morzu niemieczyzny. Toczy się zatem walka poza naszą granicą zachodnią, walka o język, o kulturę i dusze 1700000 Polaków i Łużyczan. Walczą, jak dotąd, wytrwale i z częściowem powodzeniem; wymogli przecież od Niemców prawo otwarcia pierwszego gimnazjum polskiego w Bytomiu, w którym kształci się 250 uczniów, a w niedalekiej przyszłości mają otworzyć dwa nowe zakłady średnie; w Raciborzu liceum żeńskie, a w Prusach Wschodnich w Kwidzeniu (Marienwerder) męskie gimnazjum realne. W ten sposób mogłyby te trzy zakłady dostarczyć tej olbrzymiej rzeszy Polaków w Niemczech rodzimej inteligencji, tak potrzebnej w jej niesłychanie trudnych warunkach życia.

Lecz czy to marzenie się spełni, oto pytanie, które milionom Polaków ciśnie się na usta. Walka bowiem prowadzona jest nierównymi środkami. Z jednej strony silne państwo, dysponujące kolosalnymi funduszami, wielką i dobrze zorganizowaną administracją, armją pisarzy i artystów, propagujących kulturę niemiecką, i ustawodawstwem. Niemniejsze znaczenie w ekspansji kultury niemieckiej posiada wygórowane, wprost chorobliwe poczucie wyższości rasowonarodowej Niemca, ten szowinizm narodowy, który brutalny swój wyraz ma w ich hymnie „Deutschland, Deutschland über alles“.

Z drugiej strony ubogi Polak, nie posiadający wyższego wykształcenia, zastraszonego wiekowem prześladowaniem, doniedawna publicznie piętnowany jako „minderwertig“, broni się tylko hartem swej woli i bohaterstwa. Rzecz zrozumiała, że walka prowadzona w takich warunkach, poczyniła w szeregach polskich wielkie luki, że niejeden zwątpił w zwycięstwo i opuścił bezwolnie omdlałe dłonie.

Obecny kanclerz Niemiec Adolf Hitler uroczyście w Reichstagu i w wywiadzie udzielonym w styczniu

r. ub. p. Smogorzewskiemu, korespondentowi Gazety Polskiej w Berlinie, oświadczył, że „mieszcząskiej“ polityki germanizacyjnej, stosowanej względem Polaków przez minione pokolenia, nie będzie kontynuował. Stwierdził bowiem, że tą metodą zdobywa się tylko dla kultury niemieckiej jednostki mało wartościowe, oraz że drogą kulturalnej aneksji obcego elementu osłabia się własną kulturę i rasę. Z punktu widzenia czystości rasy germańskiej oraz zdolności ekspansji kulturalnej uznał zatem dotychczasową akcję germanizacyjną za bezcelową a nawet szkodliwą. Z tych pobudek należało ją zarzucić.

Czy zupełnie? Czy Polacy rzeczywiście mogą widzieć w obecnym kanclerzu życzliwego obserwatora a w ideologii narodowosocjalistycznej, zapewniającej według słów kanclerza Hitlera obcym narodowościom swobodny rozwój kulturalny, naukę i jedną z tez nowej Konstytucji Niemiec, gwarantującą stuprocentową tolerancję narodowościową? Zdaje się, że nie.

Trudno jest choć na chwilę przyjąć tę ewentualność za możliwą zwłaszcza, jeżeli pod uwagę się weźmie nową ustawę eksterminacyjną, wydaną 29. IX. 1933 r. pod tytułem: ustawa o zagrodach dziedzicznych (Erbhofgesetz). Według tej ustawy każda posiadłość rolna i leśna o wielkości od 30 mórg do 125 ha, o ile należy do osoby uprawnionej, winna być uznana za zagrodę dziedziczną. Według opowiadania dotkniętych tą ustawą za zagrody dziedziczne uznano na Śląsku Opolskim nawet mniejszą posiadłość (18—20 mórg) i to tę, która ma dobry grunt uprawny. Właściciel takiej zagrody ziemi swej nie może bez zgody sądu ani odsprzedać, ani między dzieci swe podzielić. Cały obszar musi w razie śmierci pierwszego właściciela odziedziczyć jeden z członków rodziny albo też, jeżeli jest nieuczciwy lub niezdolny do gospodarowania, traci swą zagrodę jeszcze za życia na mocy wyroku sądu spadkowego na rzecz osoby przez sąd wyznaczonej. Nie może zatem w razie ujemnego sądu sądu spadkowego o jego uczciwości lub zdolności gospodarczej wyznaczyć swojego następcy.

Czas uregulować prenumeratę

za rok 1935 i odnowić ją na rok 1936!
Konto P. K. O. Nr. 304.581.

I to są dwa najgroźniejsze postanowienia tej ustawy, które bardzo łatwo mogą być użyte jako broń antypolska przez czynniki niemieckie. Dzieci polskiego gospodarza będą musiały opuścić ziemię i szukać pracy poza rodzinną wsią. Zostaną zepchnięte do rzędu robotników rolnych, pracujących u pana niemieckiego, albo będą musiały szukać zajęcia w dalekich miastach lub w przemyśle. A ponieważ sąd może wydziedziczyć jeszcze ich żyjącego ojca, to niebezpieczeństwo wygnania z rodzinnego gospodarstwa jest bardzo bliskie. Historia z wozem Drzymały może się w niedalekiej przyszłości powtórzyć w bardzo licznych egzemplarzach. Przecież łatwą rzeczą jest udowodnić komuś nieuczciwość albo niezdolność gospodarowania.

Związek Polaków w Niemczech protestował w wszystkich instancjach przeciw tej ustawie, wskazując na rażącą sprzeczność, jaka zachodzi między intencją ustawodawcy, zawartą w przedmowie do tej ustawy, a praktyką sądową. Mianowicie w przedmowie jest powiedziane, że Rząd Rzeszy chce utrzymać włościąństwo przez zabezpieczenie starego niemieckiego zwyczaju dziedziczenia jako *źródło krwi narodu niemieckiego* i że włościąninem może być tylko ten, który jest krwi niemieckiej lub współplemiennej. Sądy niemieckie jednak zignorowały tę ideę przewodnią i ustawę rozciągnęły także na posiadłość polską. Na protest, skierowany w tej sprawie przez Związek Polaków do kanclerza Hitlera, sekretarz stanu i szef jego biura pismem z dnia 6. VI. 1932 r. stwierdził, że niema powodów do niestosowania tej ustawy wobec mniejszości polskiej. W styczniu bieżącego roku rada naczelna Związku Polaków uchwaliła zwrócić się do kanclerza Hitlera z prośbą o audjencję, aby on jako najwyższy wódz rozstrzygnął ten spór. Dotąd jednak posłuchanie to nie nastąpiło.

Kwestja jest nader ważna i jej rozstrzygnięcie wywrze decydujący wpływ na ukształtowanie się przyszłości naszych braci w Niemczech. Zagród dziedzicznych znajduje się bowiem wiele w rękach polskich i to przeważnie w Prusach Wschodnich, na pograniczu i na Śląsku.

Ustawa o zagrodach dziedzicznych grozi więc brutalnym wysiedleniem Polaków z tych okolic, w których mimo wszelkich szykan przedwojennych i poplebiscytowych zdołali się utrzymać na swoich posiadłościach jako tubylcy.

Lecz nie lepszy los czeka ich w mieście czy przemyśle. I tu wydano odpowiednie zarządzenie, które ma uniemożliwić bezrobotnym synom polskich rolników znalezienie zatrudnienia w przemyśle i handlu. 22. IX. 1934 r. wydano nowy regulamin pracy dla wódzów i drużyn (Betriebsordnung für Führer und Gefolgschaften) z uzupełnieniem z dnia 8. VI. 1935 r., mający na celu stworzenie podstawy dla prawdziwie

narodowosocjalistycznego społeczeństwa i najwyższej tężyzny do walki gospodarczej (wirtschaftliche Kampfkraft). W myśl tego regulaminu do pracy wogóle a w szczególności w przemyśle przyjąć można tego, który a) nie jest obciążony żadną chorobą dziedziczną, b) posiada rzetelny charakter, c) nadaje się do przewidzianej roboty, d) ma obowiązki żywiciela, e) ma zasługi wobec społeczeństwa a przede wszystkim w narodowosocjalistycznej walce o wolność, f) z punktu widzenia narodowosocjalistycznego jest zaufania godny. Z uwagi na dwa ostatnie punkty członkowie mniejszości polskiej pracy w przemyśle otrzymać nie mogą

Tak więc ustawa o zagrodach dziedzicznych i regulamin pracy ciąży nad egzystencją rodzin polskich w Niemczech i wogóle nad przyszłością Polonii, jak miecz nad głową Damoklesa. I wszystko to dzieje się w państwie i narodzie zdyscyplinowanym, którym rządzi jeden wódz, co całą odpowiedzialność za politykę wewnętrzną i zewnętrzną przyjął na siebie. Trudno przypuścić, że kanclerz Hitler nic o tem nie wie, że wszystko dzieje się poza jego wiedzą albo nawet wbrew jego woli. Z pewnością wie o tem, a nawet przyjąć można, że sam dał do tak swoistej polityki antypolskiej impuls, tylko różne okoliczności nie pozwalają jeszcze na radykalne przeprowadzenie już zapoczątkowanej akcji germanizacyjnej.

W książce swej „Mein Kampf“ na stronach 425—428, traktujących o państwie, mówi o germanizacji i dzieli ją na zewnętrzną, mało skuteczną i germanizację ziemi. Zarzucił germanizację zewnętrzną — t. zn. wyżej wspomnianą aneksję kulturalną — i skłonił swą administrację do stosowania pewnego liberalizmu w dziedzinie kulturalnej względem Polaków. I tem możemy sobie wytłumaczyć te pewne sukcesy, jakie Polacy w Niemczech odnieśli w dziedzinie kulturalnej, a o których na początku wspomniałem. Spełniają się także jego piękne słowa o zaniechaniu mieszczańskiej germanizacji, nierozsądnej, krzykliwej a kosztownej. Lecz z perfidją pracują obecnie Niemcy nad drugim rodzajem germanizacji, germanizacją ziemi. Tą drogą pewnie dojdą do celu. Kto wytrwa i wygra tę walkę? Przyszłość niedaleka okaże.

Lecz w związku z przygotowaniem tak szeroko i gruntownie zorganizowanej akcji germanizacyjnej nasuwa się pewna refleksja z uwagi na naszą politykę zagraniczną. Niejaki p. Steinacher wypowiedział na zjeździe Niemców z zagranicy, odbytym w czasie Zielonych Świąt w r. 1933, pod adresem odpowiedzialnych czynników III Rzeszy znamienne zdanie, które podjął i rozwinął niemiecki radca ministerjalny p. Eugenjusz Löffler w miesięczniku: „Die Erziehung“ (zeszyt lipcowo-sierpniowy 1935 r.) Píše on: „Z punktu widzenia całości i jedności naszego narodu niemieckiego i jego ludności musimy walkę naszych braci niemieckich, mieszkających poza granicami, o kulturę swą

uważać za dalszy ciąg wojny. Nie można mówić o pokoju, dopóki państwa ościennie przeciw niemieckiej kulturze prowadzą wojnę niszczycielską. Nasi sąsiedzi muszą zrozumieć, że niszczycielska walka, prowadzona przeciw niemieckiej kulturze swej mniejszości, prowadzona jest przeciw całemu narodowi niemieckiemu, i że prawdziwe pokojowe i przyjazne stosunki z nimi zależą od uszanowania naszego ludu i jego kultury oraz od życzliwości okazywanej naszemu szkolnictwu“.

Tak jest. Przyjazne stosunki nasze z Niemcami powinniśmy uzależnić od stopnia życzliwości i sprawiedliwości gospodarczej, jaką stosują Niemcy wobec naszych braci. Narazie jednak Rząd nasz i opinia publiczna bardzo przejęła się tą wielką metamorfozą naszej polityki zagranicznej w stosunku do Niemiec. Oficjalna grzeczność i szacunek Niemiec dla naszego Rządu i narodu przesłoniły nam oczy zanadto i rozbroiły nas duchowo do tego stopnia, że gdy społeczeństwo polskie w ostatnich wyborach nie wybrało do senatu żadnego przedstawiciela z obozu niemieckiego,

to Pan Prezydent na mocy przysługującego mu prawa zamianował dwóch Niemców senatorami. To też z pewną ulgą przyjęło społeczeństwo polskie w kraju i Polonia w Niemczech słowa p. min. Becka, wypowiedziane w Sejmie w czasie ostatniej dyskusji: „jest rzeczą zrozumiałą, że wobec stosowania szykan w stosunku do Polaków poza granicami Państwa Polskiego opinia nasza nie może być obojętna, a i Rząd liczyć się będzie zawsze z tym czynnikiem“. Słowa te wypowiedział p. minister właściwie pod adresem Czechosłowacji, lecz my w kraju jak i Polacy w Niemczech chcieliby je zastosować także do siebie i swego położenia.

Hasło: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród“ staje się aktualne i zmusza nas do rewizji naszego stosunku do polityki niemieckiej. Walkę o polską ziemię rozpoczęli już Niemcy pod przewodnictwem swego Führera i kanclerza, naszym obowiązkiem wspólnej krwi i pochodzenia jest udzielenie pomocy naszym braciom i środkami dozwolonemi poprowadzić akcję obronną tak, aby ją wygrali.

JULJUSZ GRZĘBA.

Na podzwonne Konwencji Genewskiej.

Hochshtaplerzy niemieccy, składając karty po powstaniach śląskich, prawie bez wyjątku orzekli, że Górny Śląsk będzie tego rodzaju kąskiem, którym wkrótce udławi się Polska. Toteż Konwencja Genewska w ich pojęciu miała stanowić jedynie lokal giełdowy, w którym prędko miało nastąpić przybicie targu i oddanie Górnego Śląska spowrotem w ręce niemieckie. Owszem Konwencja miała być ponadto parawanikiem, spoza którego nie powinno było w międzyczasie nic zniknąć z „niemieckiego charakteru“ Górnego Śląska.

A my? my, Polska, przystąpiliśmy do kontraktu z Niemcami z dobrą wiarą, że Konwencja Genewska zapewni nam w okresie 15-lecia znaczne korzyści.

W nagrodę tego otrzymaliśmy wielką pakę sztywnego ustawodawstwa niemieckiego, która ostatecznie mogła nie być groźną jedynie dla tego kontrahenta, który zgóry nie miał zamiaru zasad konwencji dotrzymać.

Ten właśnie nietykalny ładunek ustaw ponemieckich sprawił, że obecnie u zmierzchu obowiązywania konwencji doczekaliśmy się na Śląsku całego szeregu kurjózów, które urągają wszelkiej logice i zasadom zdrowego rozsądku.

Przemysł górnośląski pod opieką konwencji nie rozwinął się. Świadczą o tem choćby liczne rzesze bezrobotnych.

Nie rozwinęło się też uważane za drugą skolei gałąź gospodarstwa narodowego na Śląsku — rolnictwo. Podnoszę tę kwestję dlatego, że zwłaszcza przy kiep-

skiem prosperowaniu przemysłu nie może być obojętnem, czy śląskie rolnictwo rozwija się, czy się cofa, gdyż około 60% ludności Śląska żyje z rolnictwa i przy dzisiejszej konjunkturze stanowczo nie może liczyć na uboczne zarobki. Toteż właśnie w rolnictwie najwięcej znajdujemy kurjózów, spowodowanych tym stanem rzeczy, jaki wytworzyła Konwencja Genewska.

Pierwszym takim dziwołagiem jest rozpanoszona do dziś dnia na Górnym Śląsku niemiecka wielka własność ziemska.

Z ogólnej przybliżonej ilości 82.000 gospodarstw rolnych, istniejących na Śląsku, wypada około 82% na gospodarstwa poniżej 3 ha obszaru. Obok tak rozdrobnionej własności chłopskiej istnieje na Śląsku jeszcze około 260 gospodarstw o obszarze powyżej 100 ha.

W 1927 roku wielka własność prywatna, która na Górnym Śląsku prawie bez wyjątku znajduje się w rękach niemieckich, obejmowała nie licząc lasów i t. d. następujące obszary użytków rolnych, zdalnych do parcelacji:

w powiecie	ogółem ha	z tego ha	przypadało na
pszczyńskim	22.025	16.039	Księcia Pszczyńskiego
rybnickim	14.591	—	— — —
lublinieckim	11.934	4.576	Księcia Hohenlohe'go
tarnogórskim	4.719	1.642	Księcia Donnersmarck
katowickim	4.127	—	— — —
świętochłowickim	2.899	—	— — —
Razem	60.295		

Z tego zostało rozparcelowane do końca 1934 roku zaledwie około 8.000 ha. Jest rzeczą niewątpliwą, że gdyby nie wpływy Konwencji Genewskiej stan parcelacji na Śląsku wyglądałby całkiem inaczej.

Również Konwencji należy przypisać, że przy stosowaniu ciągle jeszcze obowiązującej na Górnym Śląsku pruskiej ustawy osadniczej cena ziemi parcelowanej nadmiernie wzrosła, skutkiem czego sama parcelacja mija się z celem, gdyż bezrobotny nie może sobie pozwolić na nabycie działki. Toteż w obecnej chwili obserwujemy na przeludnionym Śląsku dalsze skolei cudaczne zjawisko, że spowodu wyśrubowanych cen ziemi z parcelacji prywatnej mimo zgórą 130000 bezrobotnych brak nabywców na parcele rolnicze.

Również jako dziedzictwo po Prusach, przypieczętowane chwilowo przez Konwencję Genewską, mamy jednostronny system gospodarki rolnej. Nawet najlepiej prowadzone warsztaty rolne na Śląsku są ciągle jeszcze nastawione na produkcję zbożową. W najlepszym wypadku zdołały one już przestawić pewną część swej produkcji na mleczną. Stąd też miało płynąć największe dobrodziejstwo z Konwencji dla rolnika górnośląskiego, któremu w zasadzie przyznano prawo wywozu zboża do Niemiec. W gruncie rzeczy eksport konwencyjny okazał się przywilejem większych rolników i — spekulantów. Natomiast liczne rzesze drobnych rolników absolutnie nie mogły korzystać z wywozu, gdyż ich produkcja nie pokrywa nawet ich własnych potrzeb. Zato wielcy właściciele Niemcy mieli dzięki Konwencji ten plus, że mogli ponadto marki niemieckie uzyskane za polskie zboże wprost wydatkować za granicami Polski lub też lokować je w bankach niemieckich. Jakie straty poniosło przez tego rodzaju manipulacje państwo polskie, trudno dziś stwierdzić.

Efektom końcowym tego było, że programy rolnicze na Górnym Śląsku układano według kursu gospo-

darstw większych. A na tem drobne rolnictwo nie-słuchanie dużo cierpi. Toteż trzeba przyznać, że drobny rolnik śląski naogół nie jest bynajmniej w lepszym położeniu od rolników innych województw. Zboże wyprodukowane nie wystarcza mu nawet na własne potrzeby. Innej produkcji poza powiatami bielskim i cieszyńskim prócz zbożowej i mlecznej, która nie wszędzie na Śląsku się opłaca, do dziś dnia nie mamy.

Wskutek tego z zagranicy otrzymujemy ciągle jeszcze co roku wielkie transporty warzyw i owoców, których drobny rolnik górnośląski nie umie produkować pomimo wielkiego ich zapotrzebowania na Śląsku.

Dziwaczne zjawiskiem z tem związanem jest fakt, że wprawdzie mamy na Śląsku wysadzone drzewami owocowymi setki kilometrów szos, ale zato mamy również całe wsie, a nawet powiaty, w granicach których próżno szukałbyś kawałka uczciwego sadu chłopskiego. Zato drobny rolnik przymiera z biedy ze swą rodziną, a bezrobotny, widząc to, wcale nie ma ochoty osiąść na roli a tem mniej wyjeżdżać na kolonje na Kresy Wschodnie, jak mu to radzą stante pede mądrale o zabitych głowach.

Wreszcie, poza kompletnym zastojem w parcelacji ziemi, dzięki konwencji dziesiątki tysięcy drobnych dzierżawców rolnych pozbawione są na Górnym Śląsku uwłaszczenia, co powoduje wielki ich wyzysk ze strony właścicieli ziemi.

Taki więc jest pobieżny szkic rolnictwa śląskiego na tle Konwencji Genewskiej. Śląsk jest uważnie wpatrzony w datę 15 maja 1937 roku, po upływie której wszelkie dziwolągi życia gospodarczego, zacofanie, a przede wszystkim brzemię nic niewartych przepisów pozaborczych — muszą być usunięte.

LUDWIK KOHUTEK

„Młodzież interesuje się tylko sportem“.

Śląsk jest terenem o dużem nasileniu życia społeczno-organizacyjnego. Nietylko o dużem, ale nawet za dużem, bo przecież często podnoszą się narzekania na przerost organizacyjny. Rzeczywiście wielka jest ilość różnych form organizacyjnych. Kto jednak nie pozwoli się urzec urokowi cyfr, ale wejrzy we wnętrze tych form, ten częstokroć zobaczy w nich marną treść, albo zgoła pustkę. Warto wgłębić się w te sprawy.

Spojrzymy tylko na jeden odcinek, zajmijmy się mianowicie pewnymi objawami i zagadnieniami na odcinku młodzieży pozaszkolnej. Mamy na terenie Śląska sporo organizacyj młodzieżowych. Ponieważ

zaś pragną one tak czy inaczej wychowywać swych członków, przeto wszystkie zajmują się pracą oświatowo-wychowawczą, której terenem i ogniskiem jest wszędzie świetlica. Przeważa tu typ organizacji, w której młodzież kierowana jest bezpośrednio przez starsze społeczeństwo, którego poszczególne grupy urządzają wyścig po serca i umysły młodzieży, nawzajem ją sobie z rąk wydzierając. Niema tu więc wiele czasu i miejsca na samodzielne wyżywianie się społeczne młodzieży. Przeważającym przeto typem działacza na froncie młodzieżowym będzie pracownik, pracujący *nad* młodzieżą.

Zasięgnijmy więc od niego opinii o stanie życia społeczno-oświatowego młodzieży. W olbrzymiej

większości usłyszemy tu głosy pesymizmu. „Młodzież nie interesuje się niczem poważniejszym. . . . Młodzież nie okazuje inicjatywy. . . . Młodzież interesuje się tylko sportem. . . . W świetlicach chce tylko ping-pongu i „Raz dwa trzy“ i t. d. i t. d. (Doniedawna zaś jeszcze mówiono w sferach politycznych, że młodzież dzisiejsza nie ma żadnych ideałów. Głosy te przycichły, gdy szeroką falą rozeszły się wśród młodego pokolenia prądy radykalne, sprawiające nieraz dorosłym wiele kłopotu).

Pesymistyczny pogląd pracownika oświatowego na młodzież jest w dużym stopniu słuszny. Bo rzeczywiście wiele wśród niej jest apatii i przygnębienia, widoczny jest często brak inicjatywy, pin-pong zaś zajmuje w świetlicach w ich rzeczywistości duchowej więcej miejsca, niż jego obszerna powierzchnia — w rzeczywistości materialnej. Referent oświatowy (różne są jego oficjalne nazwy), często ostatkiem sił goniący po pracy zawodowej i innej społecznej, z przykrością widzi, że jego usiłowania oświatowe spotykają się z zimnem przyjęciem. On zaczyna wykład, a świetlica pustoszeje. Ci i tamci chyłkiem łapią za czapki i wymykają się za drzwi. On do nich z oświatą, a oni za drzwi.

„Młodzież nie interesuje się poważnymi sprawami“. Żle jest. Dlaczego? I czy naprawdę tak źle?

Przyjrzyjmy się zbliska tym uciekającym od „oświaty“ gromadom. Zejdźmy teraz z podium referenta oświatowego — tego pracownika *nad* młodzieżą, — a pójdźmy „wdół“. Oto kilka obrazków z życia *dzisiejszej* młodzieży pozaszkolnej na Śląsku. (Redakcja posiada szczegółowe dane z nazwiskami i adresami).

Siedzi w świetlicy gromada chłopców w wieku od 14 — 17 lat. Kółko samokształceniowe. Czytają na swych zebraniach i referują, ano o morzu polskim, ano o Janasie, męczenniku sprawy polskiej, ano o podróżach i t. d. A jeden opowiada, że mu się ogromnie podobała książka „Cuda fizyki“. Bo on i kilku innych bardzo lubią fizykę i chemję. A towarzysze dodają, że w piwnicy ma laboratorium z różnemi flaszkami, próbkami i robi tam różne doświadczenia. Wszystkich interesuje cała Polska. Jakżeby chcieli zobaczyć Gdynię i Beskid i Tatry i Kraków! Niektórzy byli i w Gdyni i w Krakowie — ku wielkiej zazdrości pozostałych.

Tak rozprawiało kilkunastu młodych świetliczan, a obok, w sąsiednim pokoju smętnie stał stół ping-pongowy w towarzystwie dwóch czy trzech amatorów tego sportu. Aha, a gdzie tu pracownik oświatowy? Kierownik? Niema go, a właściwie prawie że go niema. Chłopcy zbierają się stale w pewnych terminach sami i sami wspólnie czytają, wygłaszają referaty itp.

Pracownik oświatowy jest, owszem, ale przychodzi bardzo rzadko a komunikuje się z przodownikami tej gromadki, t. zn. też kilku chłopcami 15 czy 16 letnimi i pożyczają im różne książki z biblioteki szkolnej i dowiaduje się, co tam u nich w Kółku słychać.

Inny obrazek. Jesteśmy w świetlicy jednej z organizacji młodzieży robotniczej. Młodzież tam starsza, a są i całkiem starsi. Pracują oświatowo sami. Niema tu wogóle pracowników oświatowych takich patentowych. Jak pracują? Jest kółko samokształceniowe (kilkunastu członków), jest kółko „malarskie“ (10 członków), jest kółko „turystyczne“ (krajoznawcze) — kilkunastu członków. Sami je założyli, sami prowadzą. Organizują wystawę malarską z pracami swych członków. Praca w świetlicy wre. Wyścig pracy oświatowej. Chcą czytać, dyskutować, uczyć się. Tych interesuje technika, tamtych sztuka, krajoznawstwo itd., wszystkich zaś życie społeczno-polityczne.

Przybyłego instruktora oświatowego proszą o wskazówki i rady, o książki. Ci z kółka „malarskiego“ chcą np. czegoś o perspektywie. Szukali takiej książki w księgarniach chorzowskich, ale jej nie znaleźli.

W innej miejscowości spotkamy grupę młodzieży zagorzałych miłośników techniki, nawet „wynalazców“. Interesuje ich nowoczesna fizyka, chcą się wgłębiać w wiedzę o atomach, a nawet, o zgrozo, entuzjazmują się matematyką. Uczą się jej w świetlicy — bo potrzebna jest do fizyki! Proszą o jakiś podręcznik z „fizyki matematycznej“ — jak mówili!

Swemi pretensjami zapędzili mnie w kozi róg, czułem się onieśmielony, jako że z fizyką i matematyką żyłem dawniej w niezbyt przyjaznych stosunkach.

Powszechne jednak zainteresowanie budzą sprawy społeczno-polityczne i często gospodarcze. Te obrazy wprost oszałamiają, gdy się z niemi człowiek bezpośrednio zetknie. Rzeczy przecież zupełnie niespodziewane! Przecież „młodzież“ niczem się nie interesuje, a tu masz, „fizyki matematycznej“ im się zachciewa!

Na szczęście coraz obfitsza jest nasza literatura popularno-naukowa. Najgorzej jednak jest z książkami na tematy społeczno-polityczne i gospodarcze. Brak jest popularnych a wartościowych książek w tej dziedzinie, np. o współczesnych prądach społeczno-politycznych. Widocznie starsze społeczeństwo i elita nie chce, by młodzież i masy wgłębiały się w te sprawy. Rezultat z tego taki, że ludzie i tak się tem bardzo interesują, tylko niewiele wiedzą, wiedzą zaś naogół tylko tyle, że np. Hitler, no to bije żydów, faszyci — Abisyńczyków, a bolszewicy, wiadomo, żydy i bezbożnicy, gorsi od masonów.

Jakżeż te fakty, mówiące o licznych i różnych zainteresowaniach, pogodzić z ujemną opinią pracowników

Pieśń.

(Z cyklu „Meteor“).

*Trudno ze słów wydobyć dźwięków wyraźną melodię
— bo jakież ton — znaczeniu też skrycie tłumionych odpowie —*

*Lecz kiedy się jest samotnym — w milczącej spowiedzi ciszy,
tajone — jawnem się staje. W pełni się widzi i słyszy.*

*Razem z bolesną myślą, co brodzi mrokiem zasnuta,
odczytasz „swoją“ melodię — jak w bliskich i znanych nutach —*

*Jest ci najdroższa — własna — bo okupiona najdrożej
jak miłość wielka i piękna — poemat wpleciony w prozę — —*

*Wtedy zadźwięczą strofy — prosto ze serca wyrwane,
niby najczulsza z pieśni — gorzko przez ciebie poznanej — —*

oświatowych o młodzieży? Otóż wśród młodzieży występują poważne zainteresowania umysłowe, społeczne i kulturalne, występują jednak przeważnie wtedy, gdy dochodzi do głosu sama młodzież. Tam, gdzie oświatowiec tylko oświeca z katedry, tam zabija zainteresowanie a powoduje bierność.

Tam zaś, gdzie się młodzież może zorganizować sama, gdzie samorzutnie wytwarza się wśród niej element przodowniczy, tam są zainteresowania i rozwija się praca oświatowa i organizacyjna. Tam, gdzie pracownik oświatowy pracuje nie *nad* młodzieżą ale *wśród* młodzieży, gdzie jeśli wykląda i uczy — to na prośby samej młodzieży, gdzie pomaga inicjatywie, gdzie umiejętnie udziela rad i pomocy, tam będą wyniki dodatnie.

Niestety w większości wypadków panuje system nie-liczenia się z zainteresowaniami i dążeniami młodzieży, system, który, wyganiany obecnie ze szkół, schronił się na tereny pracy pozaszkolnej i hodzi apatię, bezmyślność i bierność. Społeczeństwo dzisiejsze nie potrafiło w wielu wypadkach w umiejętny sposób

pogodzić różnych potrzeb życia państwowego i różnych swych dążeń z dążeniami i zainteresowaniami samej młodzieży i narzuciło jej swe programy. Na terenie oświatowym daje to ujemne wyniki.

Dlatego należy wysunąć postulat, by prace oświatowo-organizacyjne w pewnej części powierzać elementowi przodowniczemu spośród młodzieży. Spróbujmy im nawet powierzać stanowiska referentów przy *odpowiedniej* pomocy instrukcyjnej, zogniskowanej w centralach.

Postulat ten nastrocza szereg zagadnień i może rozbudzić szereg wątpliwości. „A młodzież wiele nie umie, a staje się płytka, zarozumiała“ itd. Oczywiście nie można tu wprowadzać bezdusznego szablonu, szablonu „przodowniczego“. Musimy jednak dopuścić do głosu i inicjatywy samą młodzież w organizacjach młodzieżowych. Starsze społeczeństwo nie może hamować rozwoju młodzieży i narzucać jej całkowicie swych dążeń. Bo młodzież interesuje się nie tylko sportem.

CZESŁAW DROZDOWSKI.

Dzieje pewnej konjunktury.

Literatura śląska, o której tyle już pisano, nie miała szczęścia i nie ma go do tej pory. Ludzie, którzy tę literaturę stwarzali, i ci, co się nią zajmują, a więc niektórzy tak zwani krytycy, wywindowani niepotrzebnie i przedwcześnie na szczyty, stanęli wśród „gwiazd“ i o rozwoju swym, o pracy nad sobą, o dokształcaniu własnem zupełnie nie myślą.

Wystarczy, że radośnie tworzą! Reklama, w wielu wypadkach autoreklama i — co trzeba z naciskiem podkreślić — konjunktura przyczyniły się do tego, że pisarze śląscy zmanjerowali się i w wielu wypadkach mówić już tylko można o grafomanji. Smutnym przykładem zmanjerowanego i rozgrafomianego parnasisty śląskiego jest Adolf Fierla,

z którym ciągle trzeba nam się spotykać, bo pełno go i w programach rozgłośni katowickiej, pełno jego tworów w prasie śląskiej a w dodatku prawie co-rocennie wydaje „obowiązkowy“ jakby tomik... Rzeczy te wysuwają go niestety na czoło współczesnego ruchu literackiego na Śląsku, bo „poety na Śląsku niema“ — jak stwierdził Przyboś — i stąd karjera ta jest wytłumaczona.

Fierla, Orłowianin z pochodzenia i wychowanek tamtejszego gimnazjum polskiego, już na ławie szkolnej, pod pseudonimem „Adlika“ pisuje sporo i sporo rzeczy zarówno wierszowanych jak i prozaicznych, ogłasza w pismach polskich, wychodzących za Olzę, głównie w „Gazecie Kresowej“, a później w „Naszym Pisemku“, gdzie obok wierszy i opowiadań dla dzieci drukuje w roku 1928 także dłuższą powieść fantastyczno-młodzieżową pt. „Tajemniczy skarb“.

Największą jednak i „najważniejszą“ rzeczą z lat szkolnych to „Silesiada“, epos cieszyński, stworzone na wzór „Pana Tadeusza“, ogłoszone w „Naszym Ludzie“ Koźdonia. Autorecenzja „Silesiady“ (pochlebna, bo jakżeby inaczej!), podszyta pod fikcyjne nazwisko, a przesłana ks. J. Londzinowi do „Gwiazdki“, świadczy dobitnie o owej autoreklamie, jaką już wówczas uprawiał Fierla.

Po ukończeniu gimnazjum orłowskiego w roku 1927 zaczyna Fierla pracować jako nauczyciel ludowy i kilka lat spędza w Boguminie, ucząc w tamtejszej szkole Macierzy Szkolnej. Już w roku 1928 ukazuje się we Frysztacie pierwszy tomik jego poezyj pt. „Przydrożne kwiaty“, w którym obok drobnych wierszyków pomieszczone zostały i dłuższe utwory, jak „Jarzębina“, wyraźnie nawiązująca do motywów ludowych i do słownictwa gwarowego. Rozdeklamowanie i patos czyniły ową ludowość czemś bardzo sztucznym. W roku 1930 puszcza tom nowel pt. „Hałdy“ i wtedy zwraca już wyraźnie na siebie uwagę cieszyńskiego społeczeństwa. „Hałdy“, namiętnie krytykowane na łamach prasy po obydwu stronach granicy, stworzyły Fierli trwałą pozycję w literaturze cieszyńskiej. W rok później ukazuje się tomik poezyj pt. „Cienie i blaski“, zdradzający niewątpliwy talent autora obok mętnych pojęć społecznych. Tematem nowych poezyj był „egzotyczny“ świat pracy i krzywdy społeczne, potraktowane wyłącznie po literacku. Na łamach „Gazety Kresowej“ drukowała się tymczasem powieść pt. „Ondraszek“, w której zbójce motyw, znany z powieści ludowych i z całego szeregu utworów literackich, wywindował Fierla na wysokie koturny patosu.

Po kilku latach pracy nauczycielskiej i „społecznej“, w czasie której zdobył sobie w „ojczyźnie“ wyraźne „ostrogi literata“ i uznanie ze strony władz (wojewódzkie stypendjum śląskie?), zapisuje się Adlik skolei na polonistykę w Uniwersytecie Jagiellońskim,

gdzie znów zaczyna od wyrobienia sobie opinii i stworzenia pewnej dogodnej mu koniunktury w świecie krakowskim. Prof. Roman Dyboski, wielki przyjaciel młodzieży cieszyńskiej, toruje mu drogę na łamy „Czasu“, „Ikaca“ i innych pism krakowskich, a prócz tego nowy tomik jego poezyj („Dziwy na gróniach“, Kraków 1932) poprzedza niepotrzebną przedmową — niepotrzebną o tyle, że i ona przyczyniła się do powstania owej wielkiej błagi, której na imię Fierla.

Twórczość tego pisarza do ukazania się „Dziwów“ możnaby nazwać szukaniem samego siebie, szukaniem swojego oblicza literackiego... Był w tej twórczości niewątpliwie talent, lecz pogrzebany w łatwości, jaką stosował Fierla w poezji, łatwość pisania wzbogaca ilościowo tę twórczość, lecz na jakości odbiła się raczej ujemnie. Owo szukanie własnego oblicza nie obeszło się także bez błędzenia wokół innych talentów i stąd wielkie pokrewieństwo z Zegadłowiczem, Morcinkiem i Pawłem Kubiszem. Ten ostatni — jakkolwiek wiekiem prawie równy Fierli — jest ojcem duchowym lepszej części „Dziwów“. Sztuczne „rozkapliczenie“ Beskidu w „Dziwach“ — to epigonizm „Czartaka“ zegadłowiczowskiego.

Po „Dziwach“, które świadczyły już wybitnie o zmanierowaniu Fierli, zaczyna się wyraźne wykołajenie. Krakowska „Gazeta Literacka“ wydaje w roku 1932 tomik pt. „Kopalnia słoneczna“, w którym owo „gwarowe“ nastawienie i przesadny sentyment przeprowadza się w świat górniczy. Oczywiście, że rzecz się nie udaje i powstaje raczej patetyczna parodia, bo świat ten pozbawiony jest słoneczności i sentymentu, a Fierla „na upartego“ robi z siebie kolportera wyłącznie tych pojęć. Tomik ten prócz tego ukazał już i pewne zbanalizowanie twórczości, co jeszcze jaskrawej wyjdzie w roku 1935. K. W. Zawodziński (Rocznik literacki za rok 1933, str. 29 — 30) o „Kopalni słonecznej“ wyraził się chyba najdosadniej: „Dobrze, że te nieodpowiedzialne dziecinnady nie trafią do rąk zainteresowanych, którzy nieco poważniej zapatrują się na „chlebiczka bieluńskiego kromę“ i którzyby tą brednią prasnęli o ziemię „pyskacie“; trafi to do rąk literatów krakowskich, którzy zniewoleni wierszopiską swadą poety, jego „miłością“ „rozpachnioną“ i „rozmodloną“, nieomieszkają go uznać za walnego reprezentanta Śląska i poezji pracy w piśmiennictwie polskim“. Tak się stało nietylko w Krakowie, lecz niestety i na Śląsku.

Po paru latach koniunktury krakowskiej udaje się Fierla do Pragi, gdzie kontynuuje (podobno do dziś) studia na tamtejszym uniwersytecie. I tam, korzystając z doświadczeń śląskich i krakowskich, potrafi zyskać wzięcie. Po ogłoszeniu artykułu o Jerzym Wolkerze (* 1900 † 1924) w krakowskim „Czasie“ wydaje u praskiego księgarza Wacława Petra, wydawcy dzieł

Wolkera, tomik, obejmujący „Jerzego Wolкера wiersze wybrane“. Artykuł „Czasu“, wydany w odblasku, i ów tomik tłumaczeń stanowią pewną całość w rodzaju wstępu i wyboru i jako takie są całkiem nową pozycją w działalności literackiej Fierli. O ile szkic o „życiu i dziele“ Wolкера jest coś warty, to wybór, dokonany i przełożony przez Fierlę, jest wręcz niechlujny. Sam tłumacz pisze w pewnym miejscu, że „umiejętnie podchwyczone porównania i język, prześliczny język, dostosowany harmonijnie do uczuć, z jakich się poeta spowiada, czynią te poezje szczytowo doskonałymi i dojrzalszymi w każdym calu“. W szacie polskiej jednak stwarza tłumacz takie dziwolgi, jak np. (Umierający, st. 18):

*Ale dziś już z Bogiem, dziś wsze jest marne, dziś list
[em napisał w rozterce,
abyś już zapomniała i szukać jęła indziej, gdzie jeszcze
[karmią serce...*

Nie chcąc mnożyć przykładów, stwierdzić tylko pragnę, że tłumaczenie szło prawie wyłącznie łatwizną. Fierla graficznie dobrze z czeszczyzny na polszczyznę przepisał wiersze Wolкера, tłumaczem jednak poezji

jest marnym, bo i tu pozwala rządzić się łatwiznie i manjerze.

Serja utworów, zapoczątkowana „Dziwami na gró- niach“, wzbogaca się w roku 1935 tomikiem „Kolędy beskidzkie“. Zapatrzenie się w „Kolędziołki bes- kidzkie“ Zegadłowicza, w „Powsinogi“ i w cały ów siennik, wypchany „dziewannami“ — dało na naszym terenie pierwszorzędną banjalukę. Na innym miejscu (Zaranie śląskie, 1935, str. 210 — 212) uzasadniłem już to swoje powiedzenie, co pozwala mi na pominie- cie sprawy składni i słownika, około której wyprawił Fierla smutne „kolędziołki“.

Bogata ilościowo twórczość dotychczasowa Fierli, o dość szerokiej rozpiętości językowej, tematycznej i formalnej, ukazuje nam poetę płodnego, lecz bez- nadziejnie zmanjerowanego, który do tej pory oblicza swojego własnego nie pokazał (i może nie pokaże), a jedynie dał przykład, ilustrujący śląską konjunkturę literacką.

W zalewie wierszowanej grafomanji, wezbranej w pi- smach śląskich, Fierla jest falą powracającą.

LUDWIK BROŻEK.

Wrażenia konsumenta.

Nie! nie chodzi tu o t. zw. produkty spożywcze. Również nie o piekarnie, mleczarnie, spółdzielnie, czy inne tego rodzaju kłopoty. Interesuje nas dziedzina bardziej poetyczna i ponoć do sztuki zbliżona: dzie- dzina kultury i rozrywek kulturalnych w Katowicach.

Nie popełnię na ten temat dysertacji naukowej, nie wpłacę do tych kilku słów korowodu autorytetów, nie naszpikuję ich niezwiązanymi z tematem cytata- mi. To, co napiszę, będzie to taki list „szarego czło- wieka“ do redakcji, meldunek z terenu, materiał dla miejscowych znawców i „producentów“ sztuki. Wra- żenia jednego z konsumentów imprez kulturalnych, którym zależy na ich poziomie i wartości.

Sprawa zaczyna się bez wyszukanych sytuacji, naj- prościej, jak zwykle w takim liście. Niedziela. Rynek katowicki. Słup z afiszami. Stoimy przed nim z moim przyjacielem od kwadransa i czytamy. Czytamy od a do z. Chodzi poprostu o to, że chcemy się wybrać gdzieś na wieczór. Teatr, koncert, kino — trzy moż- liwości.

Koncertu niestety niema.

Zato teatr daje dwa przedstawienia: popołudniu „Mu- zyka na ulicy“ — komedia muzyczna, wieczorem „Wiosenne porządki“ — komedia w kilku aktach. Sprawa się komplikuje. Widzieliśmy te komedijki parę lat temu w innym mieście. Ratuje nas to na szczęście od robienia doświadczeń w rodzaju: „Ko- medja muzyczna? Zobaczmy! może to coś dobrego“?

Studjowanie afiszów teatralnych stało się mojem przy- zwyczajeniem. Oczywiście w celu niepominięcia okazji. Jakże jednak rzadko nasz teatr daje dobrą okazję! Jedyne teatr, a w nim — słaby repertuar i słaby zespół.

Dlaczego? Przecież nie ze względów finansowych! Katowice są miastem bardzo zamożnym. I ludzie chodzą do teatru: frekwencji mogą zazdrościć nasze- mu teatrowi wszystkie sceny polskie. No i znaczne subsydja też teatr otrzymuje.

Czemu więc zespół nie zmontowany staranniej? Czemu tylko jeden Czajkowski na dobrym poziomie?

Ale przedewszystkiem repertuar! Miesiącami trzeba czekać na wartościową sztukę, a stale przepływa fala farsidełek (przeważnie zwą się one dostojnie kome- djami), które na swoje usprawiedliwienie nie mają nawet tego kruchego argumentu, że są „ostatnim krzykiem“ scen europejskich.

A gdy przyjdzie wyjątkowa pora na wartościową sztukę, to jakże się ją wystawia? Jeszcze do dziś straszą mnie „Dziady“ w „oryginalnem opracowaniu“. Jakże niefortunne zastosowanie śpiewu w miejsce zbiorowych recytacyj chóru! Zupełnie ginie napięcie, groza i dynamika scen zbiorowych w melodji bez wyrazu. Pomińmy inne braki (zwłaszcza słabe opra- cowanie scen zbiorowych). Jedyne odsłona na ple- banji (właściwie monolog Czajkowskiego) godna miana sztuki.

Człowiek.

*Przedziwnem się zapełnia pismem dni twych karta,
człeku — w gospodzie ziemi najsmutniejszy z gości: —
ani Bogu dorównasz, ni podejdziesz czarta;
obracasz się jak wiatrak w kole przypadłości.*

*Sto czarnych przekleństw miotasz i sto świec zapalasz,
dobroczyńca zarazem i posepny zbrodzień —
zanim ci twarz pobielei Skon — najcichszy malarz,
spieszący z ukojeniem modrem w ślad twój codzien.*

Droga.

*Ubóstwiam drogę — wyboista czy też gładka:
ma bławą metę, kędy łamie się zagadka.*

*Trwoży mię meta, u której pięta ma stanie:
zachodem szczęścia jest ważkie dróg rozwiązanie.*

Oczywiście nietrudno mnie zasypać wielkimi nazwiskami: Bałucki, Fredro, Moljer, ostatnio Żeromski. Ale to tylko bardzo nieznaczna część repertuaru. Mówi się, że prawdziwa sztuka nie ściąga publiczności: jest to oczywista nieprawda... o ile ta sztuka jest artystycznie wystawiona. Stwierdza to praktyka wszystkich teatrów. „Don Carlos“, „Wesele“, „Kordjan“ — że tylko te wymienię — robiły „kasę“ w Warszawie.

A czy nasz teatr w obecnym składzie sił kierowniczych, reżyserskich i aktorskich dysponuje możliwościami wystawienia takich sztuk?

Nie wolno głosić ex cathedra, że pustka w teatrze na t. zw. wielkim repertuarze jest wyłączną winą publiczności, która podobno lubi tylko farsy i „komedje muzyczne“. „Dziady“ cieszyły się wielką frekwencją, ale sposobem wystawienia bynajmniej nie zapaliły publiczności do sztuki dramatycznej. Wielki repertuar wymaga wysokiego poziomu wykonania scenicznego i wielokroć bardziej uwypukla braki złego wykonania, niż repertuar czysto rozrywkowy.

Teatr katowicki swojego stanowiska monopolistycznego nie powinien wykorzystywać, idąc po linii najmniejszego oporu (farsy w dzisiejszych czasach każdy posłucha!), lecz mając pretensje do nazwy przybytku sztuki, uzasadnić je swym poziomem. Inaczej będzie on tylko przedsiębiorstwem handlowym, robiącym interesy na schlebieniu niewybrednym gustom części publiczności. A wpływ sztuki na środowisko, a podnoszenie kultury i upodobań kulturalnych? Teatr ma jeszcze inne cele obok „robienia kasy“.

Ale wróćmy do afiszów.

Jeżeli nie do teatru, to może wpadniemy choć do kina. Afisze różnobarwne, różnokształtne, wielkie, małe. Czytamy: „Ewa“ z Magdą Schneider — wiedeńska komedja, „Dziewczę z Budapesztu“ — melodje z nad błękitnego Dunaju, „Rotmistrz von Werfen“ — czar Wiednia, Leo Slezak, Szöke Szakal, film całkowicie mówiony w języku niemieckim...

Stały obrazek! Katowickie kina, jak zawsze, zalane niemiecką tandetą z kuflem piwa w herbie, z ogród-

Prenumerujcie i rozszerzajcie „Kuźnicę“

jedyny społeczno-literacki miesięcznik na Śląsku

kami kawiarnianemi, z burdami karczemnemi i mdlącym sentymentalizmem.

Nie przemawia przeze mnie szowinizm, nie chcę zrywać paktu z 26 stycznia 1934 r., nie chcę naruszać pokoju europejskiego. Ale również nie widzę uzasadnienia dla tej niemieckiej hegemonii w naszych programach kinowych. Z reguły poziom tych filmów jest najniższy i atmosfera zupełnie obca naszemu duchowi, zaś walory artystyczne żadne.

Nie jestem bywalcem kinowym, ale gdy porównuję nasze programy z programami któregośkolwiek z więk-

szych miast prowincjonalnych, to wprost w oczy rzuca się kolosalna różnica. Szalę na naszą niekorzyść przeważają zdecydowanie filmy niemieckie.

Czas skończyć z karmieniem nas ochłapami! Tandeta musi zniknąć z programów kinowych! Możeby urządzić „krucjatę”? Praktyka wykazała już dawniej skuteczność takiej akcji społecznej, wykaże ją i teraz!

Nie poszliśmy również do kina.

Pozostawała jeszcze kawiarnia z orkiestrą Raabego. Najpoważniejsza rozrywka kulturalna w Katowicach?

Z. M.

Naco to i komu?

Motto:

„... możemy sobie pozwolić również na radykalizm...”

(z zapowiedzi Redaktora Naczelnego Żywego Dziennika).

Ależ owszem! możecie sobie, Szanowni Państwo, pozwolić nie tylko na radykalizm. Możecie sobie pozwolić na rzeczy daleko bardziej oryginalne. Możecie na przykład dać artykuł, polegający na czytaniu od końca do początku dowolnego urywka słowa drukowanego. Salę będziecie mieli równie nabitą „dobrowolnym towarzystwem”. I brawa również będą (a jakże!), bo tak wypada i taki już dziwny zwyczaj w „wyższych sferach społecznych”.

Aby tym kilku słowom nadać blask chociażby cudzy, choćby księżycowy, sięgnę do wzorów, wytyczonych przez nagrodzonego wawrzyńskim krasomówcą sejmowego, i powiem, że „Żywy Dziennik” był już przepowiedziany w Nowym Testamencie. Powiem, parafrazując przypowieść biblijną, (nie cytuję dosłownie z pamięci, gdyż wraz z omyłkami możnaby mnie „pognębić” choćby zarzutem herezji): „Nie zato, iż się zimny, i nie zato, iż się gorący, ale zato iż się letni niechaj cię wrzuci w ciemności zewnętrzne, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów”.

Bo cóż to za dziwny twór ten „Żywy Dziennik”, jakież jest sens jego istnienia? Padły z czyichś redaktorskich ust słowa, że ambicją „Żywego Dziennika” jest możliwość wypowiedzenia się i wymiany poglądów przez inteligencję śląską.

Jeżeli tak jest istotnie i jeżeli inteligencja śląska ma sobie akurat tyle do powiedzenia, to artykuł p. Krahelskiej, nie zostawiający suchej nitki na inteligencji, jest niezwykle łagodny i ostrożny. Bo w takim wypadku należy nie dzwonić na alarm, ale walić w tę polityowania godną grupkę społeczną. Jaknajprędzej oczyścić atmosferę!

Lecz toby nas zaprowadziło zadaleko. Może całej kwestii nie rozwikłałam, bo jednak jest ona skompliko-

wana, jednak na dwa momenty zwrócę uwagę.

Pierwszy: nie wystarczy powiedzieć, że „Żywy Dziennik” robi inteligencja śląska, trzeba dodać, że go robi — poprostu mówiąc — stara generacja. Wprawdzie redaktorzy mogą się bronić, że kobieta ma tyle lat, na ile wygląda, a mężczyzna tyle, na ile się czuje, ale to nie o tę dziedzinę chodzi. Młoda inteligencja nie bierze w „Dzienniku” udziału. Udzielono wprawdzie głosu na dosłownie dwie minuty poecie—junakowi, ale na prawach „ubogiego krewnego”. Junak czuł się nieswojo w tej atmosferze i jego „kilofo” nie zdołały jej poruszyć. Zbyto go kilku oklaskami.

Drugi: nie pomoże, proszę państwa, maskowanie się na zakończenie feljetonem p. Kozubskiego (jakże oklepane w dziedzinie humoru i satyry przytoczenie „głosów prasy”!). Te wszystkie głosy prasy (z wyjątkiem organu rządowego) to nie dowcip, lecz bardzo smutna prawda: i ten „reunion” towarzyski, i ta „defilada” przed wysoko postawionymi osobistościami. A przede wszystkim snobizm! Nieprzymuszony i najczystszej wody!

Jakże ta „publika” słucha artykułów! Cała sala to jeden bezwład myślowy, który od czasu do czasu uśmiechnie się z okazji dowcipu przede wszystkim pikantnego czy personalnego. Ale także z dowcipów makabrycznych, gdy np. p. Kostka dzierga niewątpliwie subtelne „powiedzonka” na temat, jak to u nas „dobrze”...

Oczywiście przy takim nastawieniu jedyny artykuł na poziomie (dla uniknięcia nieporozumień nie wypowiadam się co do jego stanowiska), artykuł ekonomiczny p. Szczepańskiego przeszedł zupełnie bez echa (ani jednego dowcipu — niesłychane)!

Istotnie dziwny „Dziennik”! Letnia woda dowcipów stale tego samego gatunku, dotykane najpoważniejszych zagadnień w stylu „beau causeur”. I ta biurokracja, i te emerytury. I te najkapitałniejsze wspo-

minki redaktorów, jak to oni się narażają swą śmiałością sądu. Śmieszne!

Dziwny „Dziennik“! W czasie ogromnych przemian, w czasie kolosalnych konfliktów gospodarczych i społecznych, prezentuje te kwestje w formie nieobowiązującej i „czarującej“ rozmowy salonowej lub „na dowcipnie“. Ale w tej dziedzinie nie może nawet marzyć (choć często o tem wspomina) o porównaniu z „Wesołą Fala“ czy „Cyrulikiem Warszawskim“.

Bezideowość, marazm, dekadentyzm — oto najlapidarniejsza charakterystyka „Żywego Dziennika“.

A ludzie walą się masami. Firma Kukulski, (powtarzamy: firma Kukulski) instaluje megafony, Redakcja zapowiada przeniesienie imprezy do holu. Doskonale się składa! Tam przynajmniej można będzie gwizdać! Bo w tej lustrzanej sali i przy tej wytwornej

„socjecie“ to byłby „shocking“. Zresztą rzecz dzieje się na terenie oficjalnym, nie można zbyt otwarcie uzewnętrzniać swych uczuć, incydent „lasowy“ w kularach sejmu warszawskiego jest przestrogą.

A szkoda, że nie zrobią następnego (prima-aprilisowego) numeru na Placu Marszałka Piłsudskiego! Byłaby miła niespodzianka dla znacznej ilości osób z inteligencji — tych, którym salonowy nastrój przy rozpatrywaniu fundamentalnych zagadnień nie odpowiada. Miła niespodzianka! Byłby to wogóle ostatni numer „Żywego Dziennika“ — w każdym razie w jego obecnym „rodzaju“. Wyprowadzony z atmosfery lustrzanej i bezpiecznej sali w województwie prysnąłby w zetknięciu z rzeczywistością, jak bańka mydlana. Nie pozostałby po nim kamień na kamieniu!

Bo naco to i komu?

ZBIGNIEW MACIEJEWSKI.

Dyrekcja nie tylko opala, ale i oświeca Polskę.

Nareszcie został rozcięty węzeł gordyjski! Najtęższe głowy siły się od 17 lat nad tym problemem i ani rusz! Już się wydawało, że wiekowa tradycja, przyzwyczajenia i podział stanowy biorą górę. Żaden system, żadna metoda na nic się zdawała.

Nawet bracia Jędrzejewicze, nie wydołali. Trzeba przytem wiedzieć, choć rzecz to srodze oklepana, że byli to specjaliści, jakich mało. Poprostu wzięli się na kawał. System parlamentarny wymaga od ministra, jeśli chce się przy tece utrzymać, aby stał się niedozastąpienia. Toteż poprzesztawiali oni szkoły, klasy, uczniów, a nawet podręczniki! I niech tu teraz djabeł spróbuje zrobić coś dobrego bez autorów tego „majstersztyku“. Ale to ciemności egipskich w Polsce nie rozproszyło.

Koniec tego wszystkiego niby nic nie znaczący, lecz jakże pamiętny. Niczem owe starodawne wytyczanie granic gminnych. Kto z młodzieży znalazł się pod ręką, dostawał od pana wójta łopatą po wypukłej części ciała, aby do końca życia pamiętać i mógł in foro świadczyć, którędy szła prawdziwa granica. Podobnie Jędrzejewicze upamiętnili swe urzędowanie. Co młodszy belfer, choćby tam był habilitowany nie wiadomo na jak wysokie gimnazjum, o ile nie miał dość szerokich pleców, otrzymywał skierowanie do przedszkola. I tu się zaczyna to kształcenie łopatą. Skutek jest nadspodziewany. Cała klasa pamięta na całe życie, kto uczył, zaś młody pedagog do śmierci nie zapomni, gdzie uczył i czego uczył.

Rozwiązaliśmy przez siedemnaście lat bez powodzenia nasze polskie problemy oświatowe. Powoli, ale gruntownie. Poco się

spieszyć? Stare pokolenie już i tak do niczego. Poco zaprztać sobie głowę tem, że to w dużej mierze analfabeci! Najlepiej zostawić ich samych sobie. Oni i tak są na wymarcu! Cóż wielkiego, że się między nimi wychowa dla tradycji jakiś milionik miłośników samogonki i niechlujstwa. Przy tem przecież czytać i pisać nie trzeba!

Cóż to nadzwyczajnego, że takiego pastucha ze wsi ściąga się przez parę lat choć na jeden dzień w tygodniu za uszy do szkoły? Nawet sprowadza się do tego procederu nauczycielki skądś z Małopolski. Przecież ten mały cowboy, gdy po skończonej edukacji wróci do swych dzikich mustangów na polskich puszczech i prerjach, i tak nanowo między nimi zdziczeje. Zato nie przestanie być już nigdy serdecznym zwolennikiem monopolu tytoniowego, a nieodstępny papieros nie wypadnie mu z ust nawet w chwili największego w życiu zdziwienia. Jeszcze pół biedy, jeżeli taki młodzian trafi w szeregi obrońców ojczyzny. Pan kapral już mu niechybnie tak uprzykrzy życie, że z analfabety zostanie tylko pół analfabety. Ale nie wszyscy są tacy szczęśliwi. Owszem, a iluż to mamy w Polsce takich, co to wogóle kurzyć papierosy uczą się tylko przy krowach a o szkole myślą jak o Abisynji, znając ją tylko z opowiadania. Zresztą wcale nie potrzeba, aby wszyscy umieli czytać w Polsce! Cóż to p. Marjan Dąbrowski ma być koniecznie przy swym koncernie prasowym miliarderm, a na przykład handlarz-żyd ma mieć zmarnowane zarobki?

Nie należy zapomnieć jeszcze o jednym ważnym argumente.

„Kuźnica“ jest najtańszem pismem społeczno-literackiem

Jest to moment socjologiczny. Wiadomo, że najlepiej w państwie trzyma mieszane społeczeństwo. Najlepiej, gdy mamy i trochę zbankrutowanych magnatów i coś niecoś kapitalisty, może być socjał, potrzeba żyda, dalej ksiądz i wreszcie analfabeta też nie zawadzi. Takie społeczeństwo trzyma, trzyma i trzyma. Dlatego nie należy się zbyt śpieszyć z szerzeniem oświaty. Zresztą jesteśmy jednym z niewielu narodów, który cierpi z nadmiaru inteligencji. Dlatego nic nie szkodzi, że dla równowagi społecznej mamy w rezerwie na szali tę trochę analfabetów. Tak sobie imaginujemy od 17 lat.

Ostatecznie nie od razu Kraków zbudowano. Tymczasem w wielkiem mocarstwowem państwie jest tyle bardzo ważnych spraw, że kwestje oświatowe nie mogą stanowić tamy dla życia publicznego. Grabski wymyślił złotego, Witos zrobił przewrót majowy, Ślawoj, jako wewnętrzny, kazał uregulować ustępy, a Kościłkowski już od dwu lat oporządza urzędników państwowych. No i niech kto powie, czy był czas zająć się analfabetami? Oczywiście nie, narazie jeszcze nie! Najpierw urzędnicy, a potem dopiero analfabeci, porządek musi być! Nic dziwnego, że przy tych tarapatach, jak piorun w jasny dzień poruszyła całą Polskę wiadomość, że niedawno zostały wydane radykalne przepisy, zmierzające do ucywilizowania całego bez reszty państwa. Ciekawą stroną tej akcji jest to, że jak dotąd nie ma przytem nic do powiedzenia Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia, lecz sprawami temi zajmuje się resort rolny, ściślej biorąc Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych.

Dlaczegożby nie? Jak interes, to interes. Lasów jest coraz mniej, więc należy zróżniczkować przedsiębiorstwo. Tak zresztą głosi Pan Minister Poniatowski w każdym swem przemówieniu do rolników. (Jak się wyżej rzekło, lasy też są gospodarstwem rolnem). Trzeba więc słuchać głosu szefa. Mamy więc w lasach nie tylko tartaki i smołownie, ale również stawy i jeziora rybne, różne nieruchomości miejskie, ba nawet browary, fabryki likierów i wody sodowej. To ci majówka, co?

I tu leży cała rzecz. Przy tak wzmożonym rozwoju przedsiębiorstwa, trzeba było pomyśleć o wprowadzeniu oświaty do lasów. Przecież nie można pozwolić, żeby się drzewo marnowało. Coby to były za funty lub dolarki, gdybyśmy te wszystkie wagony drzewa potrafili wywieźć, które zdążyły zbutwieć loco puszczą Białowieską albo inne Karpaty. Wogóle, że też choć te przechery złodzieje nie biorą zgniłego drzewa z lasu! Przecież wiadomo powszechnie, że gdzie tylko są lasy państwowe, tam niema ani jednej miejscowości, któraby się nie opalała kradzionem drzewem państwowem. Straż leśna, sądy, kary? Co tam gadać! Jak ktoś ma ciemno w chałupie, ciemno w oczach, a przedewszystkiem ciemno w głowie, to nie pomoże nic, dopóki sobie nie zapali kradzionem drzewem.

Rocznik 1935

„Kuźnicy“

do nabycia w Administracji. Cena 6,— zł.

Tak się zaczęła cała sprawa.

Dyrekcja lasów, chcąc się uwolnić od leśnych złodziei, postanowiła ich oświecić, niosąc przed narodem oświaty kaganiec, i wydała okólnik Nr. Zm. E. H. i. — 6164/286, w sprawie sprzedaży drzewa na budowę szkół, zamieszczony w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Nr. 1, z 1936 roku.

A stało się to wszystko dla dobra Państwa. Przecież Lasy Państwowe mają takie rozległe stosunki z zagranicą. To się sprzedaje drzewo do Palestyny, to znów kupuje jakiś porządny żydek z Gdańska. Te kupcy to tacy cywilizowani ludzie. A kiedy przy interesie wypadnie mówić o analfabetach w Polsce, jak to się trzeba wobec nich za całą Polskę rumienić! I proszę sobie wyobrazić, że ta biedna męczennica, Dyrekcja Naczelna, już się tak rumieni od 17 lat!

Ale już nareszcie jest tego wszystkiego dosyć! Dość tego zwracania gitary w Ministerstwie Oświecenia. Teraz będziemy świecić my!

Nareszcie sprzedajemy Wydziałom Powiatowym tanio, bardzo tanio, i to na raty, drzewo z lasów państwowych na budowę szkół. Tak jest. Choćby tam Ministerstwo Oświaty nie wiadomo ile protestowało, my będziemy sprzedawać drzewo na budowę szkół. Nareszcie zamknijemy gęby nie tylko zagranicy, ale i wszystkim innym w kraju, co się robią ważni, a nie wiedzą jak się wziąć do analfabetów! Teraz dopiero skończy się era oświeconego analfabetyzmu w Polsce! Sprzedawać będziemy wszędzie po całym kraju. Wilno dostanie 75.000 kubików rocznie, to samo Białystok, Lwów, Łuck. Warszawka tylko 35.000. Stolica ma przecież wszystko murrowane! Niech sobie rehtory choć chlewki koło szkół z drzewa pobudują. Najmniej dostanie Poznań, bo tylko 25.000 kubików. Za wiele szkół tam nie potrzeba. Za mądre byłyby „pyry“.

Co to będzie za interes! 10% zadatku, reszta na wekselki na pięć latek. Tymczasem nastąpi dalsza deflacyjka. Złoty, złoty interesik! Tak sobie medytuje Dyrekcja Lasów, sprzedając drzewo na budowę szkół. Teraz już i wieś i miasto nie tylko opalać, ale także oświecać będziemy!

A teren? jest jak zaelektryzowany. Niektórzy mówią, że lepsze szkoły drewniane niż żadne. Inni utrzymują, że przy tych aptekarskich dawkach drzewa, jakie rocznie oferuje na budowę szkół Dyrekcja Lasów i wielkiem zabezpieczeniu kredytów będzie to interes naprawdę, ale tylko dla Dyrekcji Lasów a nie dla oświaty w Państwie. Jeszcze inni nic nie myślą i nic nie mówią, tylko robią ruch. W Poznaniu z braku pomieszczeń natychmiast zdecydowano zbudować dzięki poparciu Dyrekcji 20-piętrowy drapacz chmur konstrukcji drewnianej, w którym zostaną pomieszczone: Uniwersytet, W. S. H., Studium wychowania Fizycznego i 5 gimnazjów, w tem jedno żydowskie. Wilno zaś popadło w konsternację. Nie może skorzystać z dobrodziejstw Lasów Państwowych. Zabrakło blankietów wekslowych. A bez wekselków ani rusz niema nowych szkółek! Cóż robić? analfabeci będą nadal kraść drzewo, a weksle — „byli ale już wyszli“.

BARTŁOMIEJ PYRLIK.

Przeglądy.

Wieczór „dyskusyjny” a monopol zabierania głosu.

W serii „Wieczorów dyskusyjnych”, urządzanych z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Katowicach, odbył się dnia 17 lutego „wieczór”, poświęcony „upadkowi cywilizacji zachodniej”. Dyskusji przewodniczył dr. Paweł Rybicki, a zagajali ją dr. Roman Lutman i mgr. Tadeusz Romer. Pierwszy ograniczył się do streszczenia prac filozoficzno socjologicznych na ten temat (Spengler, Bierdjajew, Znaniecki, Spasowski i inni), a drugi poruszył kilka zagadnień bardziej szczegółowych. W wyniku powstał — jak zresztą i na poprzednich wieczorach — wcale ciekawy i pożyteczny obraz zagadnienia. W kwestji formalnej trzeba jednak zabrać głos i zmiejsza napiętnować pewną wzajemną adorację... W obydwu referatach używano dość swobodnie, jako synonimów, dwu różnych pojęć: cywilizacja i kultura, a kiedy wśród banalnej naogół dyskusji odezwał się głos mądry, rozgraniczający te dwa pojęcia i wykazujący z przekonaniem, że cywilizacja, jako taka, święci raczej w dobie

współczesnej swój złoty okres, a jedynie w kulturze można mówić o pewnym dość wyraźnym kryzysie, — wtedy mówcy (p. Córkowskiemu) prawieże odebrano głos, motywując to brakiem czasu. Nietaktowne odezwanie się przewodniczącego („Czem mi pan zaręczy, że pan w pięciu minutach skończy?... „Ja nie mam pewności, że pan potrafi wypowiedzieć się w tym czasie“... i tp.) stało się w rzeczowej dyskusji przykrym zgrzytem, tembardziej przykrym, że adoratorom i przyczynkarzom „uczonym” wolno mówić bez ograniczenia i to w sposób słodkawo-ckliwy, naiwny, słowem: neoficki... Głos, o który w tym wypadku chodzi, jakkolwiek sponiewierany, zaważył jednak na wyniku dyskusji, skoro główny referent w zakończeniu stwierdził, iż istotnie o upadku cywilizacji mówić trudno, a wszystko to, co pisze się na ten temat i mówi, to raczej kryzys i przemiany, spowodowane brakiem „prosperity”, a wcale nie upadek.

a — z.

Z wieczoru dyskusyjnego „Kuźnicy”.

Dnia 18 lutego br. w Domu Oświatowym przy ulicy Francuskiej odbył się lutowy wieczór dyskusyjny „Kuźnicy”. Salę szczerlnie wypełnili współpracownicy i sympatycy pisma, którzy w dusznej atmosferze dzisiejszych czasów poszukują szczeroci i świeżego powietrza. Na zebraniu przeważali tym razem ludzie młodzi, tak zwane młode pokolenie, które już w niepodległej Polsce wychowuje się i pracuje. Zebraniu przewodniczył kol. Modes Aleksander, który na wstępie zaznaczył, że wieczory dyskusyjne „Kuźnicy” mają za zadanie zbierać co miesiąc tych wszystkich, którzy współpracują lub sympatyzują z pismem, dla wspólnego omawiania zagadnień poruszanych przez „Kuźnicę”. Tworzy się tradycja tych wieczorów przez zdecydowaną postawę i wolę ludzi, którzy w życiu nie wybrali wygodnej drogi godzenia się z otaczającą ich rzeczywistością, ale powołali do życia pismo, by dawać zewnętrzny wyraz swoim poglądom na zagadnienia życia społecznego, w których sami tkwią głęboko, a które mają ambicję kształtować. Dyskusję zagał kol. Paweł Musioł, który w krótkim szkicu szukał uzasadnienia historycznego, politycznego, ekonomicznego oraz moralnego dla postawionej przez siebie tezy, że ideą przewodnią rozwoju Państwa Polskiego powinna się stać idea narodowa (autor ją nazwał nacjonalizmem), która dopiero przez przebudowę społeczno-gospodarczą potrafi zmobilizować i trwale uaktywnić drzemające siły szerokich mas ludowych. Bo przecież pozyskanie ich dla Państwa Polskiego może się odbyć jedynie na drodze głębokich reform gospodarczych i społecznych, rewolucyjnych dla tej rzeczywistości (autor odrzuca rewolucję jako drogę do zrealizowania reform; rewolucyjne mają być tylko te przeobrażenia w stosunku do obecnego ustroju Polski), którą mają w nienawiści.

Następnie prelegent postawił tezę, że przebudowę tę robi sam naród polski, jako jedynie zainteresowany w rozwoju Państwa Polskiego, pod kątem widzenia swoich własnych interesów. Słabą stroną dotychczasowych ruchów narodowych było, że nie miały żadnego zrozumienia dla spraw przebudowy społecznej i dlatego nie znalazły aprobaty w szerokich masach ludowych. Ruchy te wytworzyły jedynie szowinizm narodowy i zdołały dla niego pozyskać grupki młodej inteligencji. Chodzą również na naśladownictwo obcych wzorów. Z drugiej strony polskie ruchy radykalne budowały na szerokiej platformie międzynarodówek, nie mając zrozumienia dla własnych, narodowych wartości. I dlatego skoro międzynarodówki nie wytrzymały próby życia (prócz Kominternu) straciły i one grunt pod nogami. Idea narodowa Polski musi bazować na szerokich masach ludowych. Prelegent nie podał w swoim krótkim referacie, w jakim kierunku ma iść ta przebudowa (jej treść). Jak zresztą przewodniczący zebrania zaznaczył, interesujący ten temat będzie przedmiotem osobnego marcowego wieczoru. W dyskusji zabierało głos oprócz innych również kilku młodych robotników, którzy w prostych słowach dali wyraz swojemu największemu przekonaniu, że lud w Polsce nie wie „dla kogo ta Polska jest” i w jakim kierunku pójdzie jej rozwój. Wieczór ten poświęcony był zatem omówieniu zagadnienia wstępnego podstawowego: jaką ma być myśl przewodnia (idea) całego przyszłego rozwoju Polski. Na wysunięte przez prelegenta tezy, to zn. na myśl, że dla przyszłego rozwoju państwa trzeba szukać nowej politycznej koncepcji (a więc dotychczasowa przeżyła się), wszyscy zgodzili się z tem, że narzuca się konieczność sprecyzowania w płaszczyźnie praktycznej kierunku tej przebudowy i jej rozmiarów,

jako jedyne warunki dla pozyskania szerokich mas ludowych dla Państwa Polskiego. Tematy te będą przedmiotem całego cyklu miesięcznych wieczorów, a w samym piśmie będą się

ukazywać programowe artykuły, dające wyraz jednolitym poglądom grupy „Kuźnicy” na przeobrażenia i organizację poszczególnych dziedzin życia zbiorowego w Polsce.

Brzydkie metody błaznowania.

P. Woźniakowskiemu, który tak „dowcipnie” zabierał głos na ostatnim „Żywym Dzienniku” w sprawie kobiecej, winni jesteśmy parę słów odpowiedzi.

Rozumiemy do-konale, że chciał być zabawny i zyskać poklask, ale można to było zrobić inaczej niż przez fałszowanie świadome i celowe cudzych myśli.

Więc p. W. raczył nam zarzucić, że zmierzamy do zepchnięcia kobiety do kuchni i garnków, że pragniemy z niej znów uczy-

nić głupie popychadło i kopciuszka. Według p. W. czynimy to dlatego, że przy takiej kobiecie nie odczuwa się potrzeby wysiłku umysłowego.

Źle sędzi o kobietach p. W., skoro mniema, że kobieta niepracująca zawodowo jest temsamem skazana na gnuśność umysłową i do zainteresowania się głębszymi sprawami niezdolna. My uważamy inaczej. A co do tego wysiłku umysłowego, to jasnym dla nas jest, że p. W. w wywody swoje włożył go jaknajmniej, dał jednak maximum tego, na co go było stać.

Rewja znawców.

Znałem pewnego młodzieńca, który, zapytany mimochodem przy maturze, co to jest lapsus, odpowiedział: to jest, jak się komuś coś wypnie. Tak pojmowany lapsus pojawia się często na szpaltach naszych dzienników i to nawet bardzo poważnych. Bo np. „Gazeta Polska” wydrukowała takie wypnięcie się w numerze z dnia 25. II., podpisując je wspańiałomyślnie u góry i u dołu: Gustaw Morcinek.

Nosi to wszystko tytuł „Ten Kämpf z tem Drachem” a pretenduje do rewelacyjnego odkrycia „białych kruków”, „rarytasów” śląskich i wogóle jest bardzo pretensjonalne. A w sumie mówi o rzeczach znanych i jest czemś nowem tylko dla tej miary „badaczy”, co podwójnie podpisany p. Morcinek. Ponadto zawiera kilka tak kardynalnych byków z zakresu dziejów kultury polskiej na Śląsku, że tylko wrodzonym wstrętem do dokładniejszych badań i ścisłości mógłby się tu autor wytłumaczyć. Bo wypada zwrócić uwagę p. Morcinkowi, że pomylił się o lat około 200 (słownie: dwieście), pisząc, że „jednym z najstarszych (ostrożnie powiedziane) polskich druków na Śląsku jest książka Muthmana z r. 1716. Jeśli się powtarza tę wiadomość jak za panią matką za ks. Londzinem, to trzeba powtarzać dokładniej i pisać: najstarsza w Księstwie Cieszyńskim. Pragnęlibyśmy przytem, by Szan. Autor zechciał nam wyjaśnić, jakim sposobem w Cieszynie w r. 1716 znalazł się „pastor niemiecki”? I skąd autor zaczerpnął wiadomości, że Feitzinger, „zacny niemiec, poczwiwiec wielki” drukował „Pana Tadeusza”? Wiadomo bowiem jest, że uczyniło to „Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra” w r. 1906. I jeszcze chcielibyśmy się dowiedzieć, jak w Szan. Głowie autora ułożyła się chronologia pisarzy śląskich, skoro pisze: „Poczwiwiec niemczysko Feitzinger i kudłaci trubadurowie

czescy tak długo grasowali na Śląsku, dopóki nie pojawili się tacy pisarze, jak Miarka, Stalmach, ks. Damrot, Ligoń, Lompa...”? Czy przypadkiem nie oni to poprzedzili Feitzingera, a np. taki Lompa czy nie leżał już dawno w grobie zanim się to „poczwiwiec niemczysko”, które w rzeczywistości było zwykłym spekulantem, pokazało?

Nakoniec jeszcze jedno: skąd nagle p. Alfred Jesionowski stał się „najbieglejszym znawcą literatury śląskiej”? Czy dlatego, że zna się na niej tak jak Pan, Panie Gustawie, i podobnie jak Pan wskrzesza Lompę pod koniec XIX. wieku, on wskrzesił Augustyna Świdra w 13 lat po śmierci? A może dlatego jest tym znawcą, że się na Panu nie poznał?!

Ten napuszony i pełen tupetu artykuł jest najjaskrawszym objawem rozpanoszonego u nas dyletantyzmu i reklamiarstwa. Wstydl!

Zh.

ZDOLNEGO

AKWIZYTORA OGŁOSZEŃ Z DOBREM REFERENCJAMI POSZUKUJEMY.



Zgłoszenia u Naczelnego Redaktora, Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury, Katowice, Plebiscytowa 1 w godzinach 10—12

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Drapacz Chmur 18. Telefon Nr. 307 51. P. K. O. 304 581.

Wydawca i redaktor naczelny: Paweł Musioł.

Redaktor odpow.: Wilhelm Imioła, Katowice

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Ceny ogłoszeń: $\frac{1}{1}$ strona 200,— zł, $\frac{1}{2}$ strony 100,— zł, $\frac{1}{4}$ strony 50,— zł, $\frac{1}{8}$ strony 30,— zł, $\frac{1}{16}$ strony 15,— zł. Drobne ogłoszenia 0,25 za słowo.

Druk: Zakłady Graficzne „Mercuria” Siemianowice Śl.